

Proste sztuczki

Wyznania
szczerego
entuzjasty teatru
PAWEŁ GŁOWACKI

Troje gimnazjalistów, co w ciemnej grotesce Thomasa Freyera „Amok moja dziecinada” spowiadają się ze zbrodni, nie miało infernalnego dzieciństwa. Żadnych głębinnych traum. Żadnych zgrób nie do wymazania. Żadnych blizn pamiętliwych. Po co zresztą aż samo piekło przywoływać. O dzieciństwie tych, którzy między bułką z serem na drugie śniadanie a jabłkiem tuż po bułce zmasakrowali ludzi na korytarzach i w klasach gimnazjum, nie można wyrzec nawet klasycznie już dziś pustego przymiotnika: trudne.

Upiorny prymus w rogowych okularach, białej koszuli, z czarną aksamitką w miejscu krawata i z pełną buł i jabłek wierną reklamówką w garści (Dominik Nowak), jakże celnie rozwinięta oddechowo, rozszczębiotana gąska w okularkach korekcyjnych (Katarzyna Maciąg), wreszcie kruchy blond amerek z dyskretnymi lokami nad alabastrowym czołem i z nieodłączną gitarą w porcelanowych palcach – opowiadają, jak też z nimi było, nim ze spokojem godnym wieczornych lodowców na długiej przerwie rozstrzelali spory kawałek świata. Było nijak.

Na scenie Teatru Nowego – szkolna akademka. Powiedzmy – z okazji Dnia Nauczyciela. Upiorny prymus wyrecytuje coś czasem nad elektronicznymi organa-

mi Casio. Oddechowo jakże celnie rozwinięta gęś wszczebiocze to i owo w mikrofon, blond amerek porcelanowym palcem wyszarpię z gitary pięć nut i głosem miodowym oznajmi parę faktów z dzieciństwa. Są stre-mowani, zawstydzeni, śpięci. Za plecami mają z rzutnika wyświetlony wielki krajobraz miasta. Owszem, gdzieś tam, w ich gimnazjum, ktoś ze ścian zeszkrobuje jelita, do wiader zbiera z korytarzy niekończącą się krew, zamyka wypchane dziurawym mięsem czarne worki, ale za to oni tu bardzo chcą wypaść dobrze! Cholera, co powiedzą kumple, którzy w ostatnich rzędach chichoczą?

Recytują własną przeszłość jakby recytowali wiersze częstochowskie. Wolno kleka portret letniej bylejakości. Nie, ojciec nie był potworem domowym, nie obrywał uszu za byle co, nie karał słabkami, nie miał węża w kieszeni, nie chłostał gołego tyłka, nie pieklił się, nie był kryminalistą ni satanistą, a jakby tego mało było dla szarej normalności – nie chłął, więc po pijaku nie tłukł talerzy, nie masakrował mebli i nie katował matki, która ze swej strony żądnych, ale to żadnych talentów nie przejawiała w trudnej sztuce toksyczności rodzinnego stadła.

Nie zdradzała ojca, nie dorabiała na ulicach, nie torturowała dziecka chorą nadopiekuńczością, nie wydzierała się i nie szeptała, nie cierpiała na pokaz i nie czyniła teatru z niekończących się migren, gdyż ich nie posiadała. Zwyczajnie – była, bo trzeba było jakoś być, żyć,

radzić sobie, wiązać końce, kochać, choćby i nie było siły na kochanie. W ogóle wszystko było, bo jakoś musiało być, to zaś, co zwie się wielkimi ruchami na polityczno-społecznej murawie, nie zostawiało znaczących śladów.

Ani kapitalizm zatem, ani socjalizm, ani wybudowanie muru przez środek miasta, ani zburzenie muru, ani Bundestag, ani zmieniająca się pleć Kanclerzy, ani rozkwity bądź uwiady stosunków z Rosją, ani opiekuńczość rynku socjalizującego, ani krwiożerczość rynku wolnego – nic istotnie nie korygowało banalnego człapania szarych dni. Pozostawała dobra, letnia bylejakość... I tylko czasem... Czasem z tej szkolnej akademii ku czci, by tak rzec, Dnia Martwego Nauczyciela, skapuje mała, czarna kropla...

Upiorny prymus szepcze coś o swastyce nocą machniętej na murze. Blond amerek miodowym głosem wspomni szkło rozbitych butelek i wywrzeszczane hasła, opadające na chodniki. Jakże celnie rozwinięta oddechowo gęś wyzna, że wieczorami lubi, bardzo lubi pilnikiem do paznokci, nożyczkami, byle czym, otwierać swą skórę i patrzeć na wolno sunącą krew... Tylko tyle ciemności w ich spowiedzi. Prawie nic. Żałosne okrucieństwo. Kilka czarnych much. Skąd zatem wzięły się tamte trupy w gimnazjum? Jakże jest źródło zła?...

Zawieszam pytanie. Zawieszam, bo przyjemnie jest bywać w teatrze, gdzie nikt nie stawia pytań dziś już dokumentnie wyświechtanych, pustych, martwych. Oto

w smętnej epoce teatru przedszkolnie banalnych diagnoz stawianych światu – artyści Teatru Nowego diagnoz światu nie stawiają w ogóle. Posiedli tę mądrą oczywistość, że od stawiania diagnoz jest mianowicie lekarz, nie teatr. Wiedzą, że scena jest od stawiania światu pod nos – opowieści. Jest od zarażania świata intonacją opowieści.

To – intonacja scenicznej godziny w Nowym – jest sednem przerażenia, które reżyser Iwo Wedral wycisnął z opowieści Freyera. Szare dzieciństwo bez toksycznych właściwości kończy się rzezią nieludzko wyrazistą. I o tym dzieciństwie, o tej rzezi – Nowak, Maciąg i Falkowski mówią tak, jak na szkolnych akademiach dzieciarnia klepie landrynkowe rymy. W tym gorycz niebywała. Jelita ludzi przy-padkowych, co za przyczyną młodych palców wesoło skaczących po cynglach zmieniły się na ścianach w graffiti – dla właścicieli młodych palców są niczym ta bułka z serem, co ją upiorny prymus z reklamówki wyjmuje i spokojnie żuje nad organami Casio.

Pamięć o trupach żadnych więc drzeń z małych katów nie wysuwała? Żadnych. Rzeź wzięła się z szarości, tak jak intonacja seansu Wedrala wzięła się z „Władcy much” Williama Goldinga. Władca much lubi robić coś z niego. Ceni proste sztuczki.

**Teatr Nowy, ul. Gazowa 21.
Thomas Freyer „Amok
moja dziecinada”.
Reżyseria i scenografia
Iwo Wedral. Reżyseria
światel Marek Kutnik.**